Należytość pocztowa zapłacona

Rok I. Kraków, dnia 15. grudnia 1923. Nr. 32.

POLSKA ODRODZONA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEI KOŚCIOŁA NARODOWEGO W POLSCE.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: kwartalnie 240 000 mkp., miesięcznie 80 000 mkp. Numer pojedynczy 40 000 mkp. — W AMERYCE: 2 dolary, półrocznie 1 dolar. — **Konto czek. PKO. w Warszawie 151 854.** — Redakcja i Admin.: **Kraków-Dębniki, Madalińskiego 7.** — Telefon **4323**. — Wydawca i redaktor odpow. **Ks. Dr. Antoni Płaszek.**

Rok I. Kraków, dnia 15. grudnia 1923 Nr. 32

POLSKA ODRODZONA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEI
KOŚCIOŁA NARODOWEGO W POLSCE

Bóg się rodzi...

Początkowe wyrazy prastarej naszej kolędy, streszczają bardzo dobrze znaczenie narodzenia się Jezusa Chrystusa.

„Bóg się rodzi...“

W znaczeniu historycznem Bóg się narodził przed 20-tu blisko wiekami w postaci ubogiego Mistrza z Nazaretu, przejawił w Nim swą naturę i istotę, ale w znaczeniu duchowem i moralnem to przejawienie się Boga w człowieku i przez człowieka nie skończyło się, nie wypełniło się jeszcze.

„Bóg się rodzi...“

Tak, Bóg się rodzi dopiero w człowieku, to znaczy człowiek poczyna dopiero odczuwać i rozumieć poczęcie się w sobie Boga.

On był w czlowieku zawsze, nietylko jako Twórca w swem dziele, jak jest we wszechświecie, ale jako odbicie, Ojciec, pierwszowzór, w dziecku swego ducha. Lecz świadomość tego bytowania Boga w człowieku rodzi się powoli, rozwija się stopniowo i dochodzi u niektórych przynajmniej ludzi do najwyższej doskonałości, zjednoczenia się człowieka z Bogiem, jeszcze w czasie doczesnego życia, we współpracy, współtworzeniu.

Chrystus Pan powiedział, że Królestwo Boże podobne jest do ziarna gorczycznego. Maleńkie jest, ale gdy się rozrośnie, staje się drzewem wspaniałem.

Tak i tu przeświadczenie człowieka o bycie Bożym w sobie, we wszechświecie, jest z początku nikłe, niewyraźne. Jest jakby przeczuciem, półświadomym stanem duszy i uznaniem nąd sobą wyższej istoty, Boga. A potem, z czasem ujawnia się ten stosunek człowieka do Boga wyraźnie, jasno, żywo.

I nastaje w duszy ludzkiej narodzenie się Boga.

Narodzenie się w poszczególnej duszy, w duszy poszczególnych ludzi.

Bo w duszy zbiorowej, w działaniu państw i narodów nie przejawił się jeszcze wyraźnie Bóg.

Jeszcze się nie narodził.

Dotąd żaden naród, ani państfwo, jako zbiorowa jednostka, nie przyszły do świadomego stosunku z bóstwem, nie czerpią z tego stosunku moralnego i duchowego życia.

Lecz miejmy nadzieję, że przyjdzie ten czas, a ten naród, który zrozumie i odczuwa ten święty obowiązek wewnętrzny, stanie się najszczęśliwszem i najdoskonalszem społeczeństwem.

Sprawdzi się na nim wizja wielkiego Chrystusowego apostoła Jana:

„Oto przybytek Boży z ludźmi i będzie mieszkał z nimi. Oni będą ludem jego, a sam Bóg będzie z nimi, będąc Bogiem ich.

I otrze Bóg wszelką łzę z oczów ich, a śmierci więcej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani boleści, albowiem pierwsze rzeczy przeminęły.“ Obj. 21, 2, 3.

EMIL ZEGADŁOWICZ.

Chrystus się cieleśni.

Matko ziemio,
Radością serce twoje śpiewa:
Wonieje wiosną zima
W grudniu kwitną drzewa. —

Matko wodo,
Srebrzą się fale twe radośnie:
Puściły lody — — ave
Serca wiecznej wiośnie. —

Bracie ogniu,
Niecony przez tyle stuleci:
Nadzieją niezmożoną
Płoną twoje dzieci,

Bracie wichrze,
Sposobny na serca zasiewy:
Daj i wymieć ze stodół
I śpichlerzy plewy. —

Siostry gwiazdy,
Wiecznością zawtórujcie pieśni:
Że to w sercu żywiołów
Chrystus się cieleśni. —

(Ze zbiorku: „*Wielka nowina*“).

Ewangielja miłości i miłosierdzia.

(Ciąg dalszy).

Chrześcijaństwo szerzyło się w pierwszych wiekach niemal wyłącznie wśród najuboższych, ciężko pracujących warstw ludności i pouczało ludzi tych nie tyle o „godności pracy“, ani też o „wielkiem zadowoleniu, które daje praca“, ile wpajało w nich poczucie *obowiązku pracy.* „Kto nie pracuje, ten nie powinien jeść“ (II Thess. 3,10). Że obowiązek miłosierdzia powinien mieć swe granice tam, gdzie istnieje zdolność do pracy, zasada ta była często wypowiadana w kazaniach, a gminy musiały niejednokrotnie bronić się i walczyć z próżniakami i spryciarzami, którzy usiłowali nadużywać miłosierdzia współwyznawców i pędzić wygodne życie pasożytów. I wówczas bowiem nie brakło takich, o czem opowiada Lucjan, dodając do charakterystyki chrześcijan, że bywają naciągani przez sprytnych oszustów, rozprawiających po całych dniach o religji, zamiastby się do pracy brali.

Tertuljan mówi wyraźnie: „Nie jesteśmy przecież braminami ani indyjskiemi gimnosofistami, leśnymi ludźmi, ani wyłączonymi z współżycia..... Żyjemy na tym świecie razem z wami, — stajemy do pracy obok was i rezultaty naszego trudu oddajemy do powszechnego użytku („Apol. 42).

Nawet kandydaci na kapłanów, klerycy, zarobkowali na swój chleb powszedni tak jak wszyscy ludzie.

O konieczności pracy znajdujemy u Klemensa Aleksandryjskiego i innych niejednokrotnie uwagi, które do dziś nie straciły swej wysokiej moralnej wartości. Uważano pracę nietylko za konieczny ludzki obowiązek, ale także za środek, umożliwiający wykonywanie uczynków miłosierdzia. Myśl tę porusza list do Efezów, który jest świadectwem, że używano właśnie motywu tego dla zachęcania wyznawców do tem gorliwszej pracy. Żądano też od wyznawców poszanowania i sumiennego wynagradzania pracy (List Jakóba c. 5, 4), a tym, którzy wyzyskiwali pracę cudzą, grożono ciężkiemi karami Bożemi. Tego rodzaju poglądy wśród wyznawców religji, której zagrażało już od samego początku niebezpieczeństwo zboczenia na bezdroża bezczynnego i nieproduktywnego ascetyzmu, muszą was zdumiewać i świadczą o wysokim rozumie i

silnym zmyśle społecznym pierwszych przewodników chrześcijaństwa.

Gmin chrześcijańskich obowiązkiem było też zapewnić każdemu z członków (czyli bratu) pewne minimum środków do życia, i to przez dostarczenie zdolnemu do pracy, a bezrobotnemu zajęcia tak wynagrodzonego, by nie cierpiał nędzy, nie zdolnemu zaś do pracy stałego i dostatecznego wsparcia. W homiljach t. zw. pseudoklementyńskich (ep. Clem. 8) czytamy: „Zdolnemu do pracy -- praca, niezdolnemu do niej czynne miłosierdzie“. Cyprjan (ep. 2) uważa za rzecz zupełnie zrozumiałą, że obowiązkiem gminy jest zapewnić inne zajęcie i sposób do życia nauczycielowi sztuki aktorskiej, jeśli mu tego właśnie zajęcia gmina zabrania; jeśli zaś on nic poza swą sztuką nie umie, to powinna sama gmina dbać o jego utrzymanie (ep. 41, 1). Zasadą jednakże było nie wspierać próżniaków i pasożytów i że żaden z braci zdolnych do pracy nie ma prawa do wsparcia dłuższego, jak przez dwa lub trzy dni. Gmina miała prawo i obowiązek takim, którzyby nie chcieli pracować, odmawiać swego wsparcia.

„Jeśli brat jest rzemieślnikiem“, — mówi Cyprian, — „to winien wykonywać swe rzemiosło i zarabiać na chleb. Jeśli jednak żadnego nie umie rzemiosła, *to jednak dbać musicie o to, ażeby żaden chrześcijanin nie żył wśród was jako próżnujący. Jeśli on wszakże nie chce wogóle pracować, to jest on takim, który handluje Chrystusem* („christemporos“). Od takich trzymajcie się zdala“. —

Słowa te wskazują zarazem i na to, że chrześcijanin mógł prosić o pracę w gminie i że obowiązkiem gminy było znaleźć mu ją. Nietylko więc obowiązek wzajemnego się wspierania w potrzebie wiązał ściśle ze sobą członków gmin chrześcijańskich w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, ale gminy te były zarazem czemś w rodzaju związków pośredniczących i ułatwiających członkom znalezienie pracy. Fakt ten świadczy dobitnie o tem, że chrześcijaństwo w pierwszych wiekach *spełniało także poważną misję społeczną* i rozwijało wśród swych wyznawców zdolności społeczne (socjalne), działając jako swojego rodzaju związki gospodarcze. Wymieniony przez Cyprjana wypadek dowodzi, że nie była to tylko pusta zasada. Dla ludzi zdolnych i chętnych do pracy, którzy wpadli w biedę, była w ten sposób gmina ostoją, w której znajdywali pomoc i pracę. Dla niezdolnych zaś do pracy była gmina ratunkiem od śmierci głodowej. —

* * *

Powyżej opisana działalność gminy chrześcijańskiej nie ograniczała się jednak wyłącznie do ścisłego koła jej członków, lecz rozciągała się też na wyznawców przejezdnych i przybyszów z obcych miast i krajów. Było to wykonywanie obowiązku gościnności, pojmowane nietylko jako cnota osobista członków gminy, ale jako obowiązek samej gminy jako instytucji.

W pierwszym liście Klemensa do gminy Korynckiej, jest między innemi cnotami, któremi się gmina ta odznaczała, wymienioną też cnota gościnności, którą miał sposobność poznać też każdy z wyznawców, kto był gościem Korynckiej gminy (Clem. 1, 2).

W innym liście z czasów panowania w Rzymie imperatora Marka Aureljusza, składa koryncki biskup Dyonizy uznanie gminie rzymskiej za jej stary obyczaj świadczenia dobrodziejstw zamiejscowym braciom. -- „Sławę tę“, — pisze biskup Dyonizy w swym liście, — „wasz zacny biskup Loter nietylko nadal utrzymać się stara, lecz ją nawet pomnożył przez to, że dary złożone świętym szczodrze rozdziela i przejeżdżających braci, jakoby ojciec dzieci, słowem Bożem krzepi. (Euz. h. e. IV, 23, 10). Gmina rzymska wysunęła się stosunkowo tak rychło na czoło zachodniego chrześcijaństwa nietylko dlatego, że siedzibą jej była stolica ówczesnego cywilizowanego świata, ani też nie dlatego, że była ważnym punktem działalności apostolskiej na zachodzie, ale przedewszystkiem dlatego, że czyniła zadość szczególnym i znacznym wyma-

ganiom i obowiązkom opieki nad wyznawcami, które jej nakładała stolica olbrzymiego imperjum rzymskiego.

Gmina rzymska odznaczała się właśnie w początkach chrześcijaństwa gorliwością w sprawach ogólnych Kościoła i opiekowała się wyznawcami, przebywającymi do Rzymu z różnych stron świata. W epoce, w której chrześcijaństwo było jeszcze religją wędrowną, przypadkowe podróże wyznawców były często jedynym środkiem porozumienia się ze sobą odległych gmin chrześcijańskich.

W czasach zaś prześladowań chrześcijanie bywali przepędzani z jednego końca państw na drugi i gościnność gmin chrześcijańskich miała skutkiem tego ogromne znaczenie, osobliwie zaś w stolicy państwa w Rzymie. Przybyli z obcych miejsc wyznawcy mieli prawo do korzystania nie tylko z gościnności miejscowej gminy, ale także otrzymywali od niej do czasu wsparcie i pracę, jeśli się w miejscu danem na dłużej osiedlali. Gminy więc nie czyniły w świadczeniach miłosiernych wobec wyznawców żadnych różnic między miejscowymi a „obcymi" braćmi; przodowała zaś w tej cnocie gmina rzymska, od której najwięcej ze względu na miejsce wymagano i brano. Te częste podróże, których motywem była niezmiernie wówczas żywa praca apostolska, a jeszcze częściej prześladowania, skłoniły gminy już z początkiem IV wieku do urządzania przy drogach zwłaszcza tych, co wiodły przez obszary bezludne, własnych schronisk i miejsc noclegowych przeznaczonych dla podróżujących wyznawców.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

EMIL ZEGADŁOWICZ.

Ze zbiorku: „Przyjdź Królestwo Twoje!"

14.

Mówi serce:

— Cóż wy mi powiedzieć możecie
mędrcy i filozofowie,
czego mi najlichsza trawa
przy drodze rosnąca nie powie. —

Mówi serce:

— Bóg z zamiarem miłosnym
idzie do człowieka —
a człowiek pełen złości
od Boga ucieka. —

Mówi serce:

— Gość w dom, Bóg w dom —
miłosnać skryta tu przestroga —
człecze! — obyś mógł codzień
gościć w domu Boga. —

Mówi serce:

— Tyle radości Bóg nam dał:
ziemię i niebo, wino w dzbanie
i kwiaty dał i *Siebie* dał —
na krzyżu, w Nazaret i w Kanie. —

15.

— Ach! — obojętne mi mody i style,
nowości komunały:
gdy przecież mieszkam w Bogu,
Bóg mieszka we mnie cały. —

(Wydanie na r. 1924).

DZIEJE IDEI KOŚCIOŁA NARODOWEGO W DAWNEJ POLSCE

[Ciąg dalszy]

Wspomniana już misja, z którą mieli jechać na sobór Trydencki polscy delegaci Stanisław Maciejowski i Frycz Modrzewski, misja, która miała domagać się od papieża i soboru zgody na *nabożeństwa w polskim języku, na zniesienie celibatu księży i sobór narodowy*, była wynikiem uchwał sejmów w r. 1550 i 1552. — Żądanie co do języka narodowego w liturgji było naturalnym objawem rozbudzonych wśród szlachty polskiej dążności narodowych i dojrzałej narodowej samowiedzy.[1])

O sprawie tej tak pisał Frycz Modrzewski:

„Niektórzy są tego zdania, że ludziom naszej narodowości, jako mniej okrzesanym i tępszym na umyśle, nie wypada pisać lub dysputować o religji, lecz iść za zdaniem innych narodów. Zdaje mi się, że to jest to samo, jak gdyby ktoś powiedział, że żaden polak nie powinien patrzeć własnemi oczami i słyszeć własnemi uszami, lecz wierzyć oczom i uszom innych ludzi.“

Przez wprowadzenie języka narodowego do liturgji chciał Frycz Modrzewski wraz z biskupem Uchańskim i tymi wszystkimi, którzy ich zdanie podzielali, uczynić nabożeństwem całe zrozumiałem dla wszystkich, a zarazem uwolnić Kościół polski od wpływów obcych, nie liczących się nigdy z interesami państwa polskiego.

Chęć zaprowadzenia języka narodowościowego w Kościele, a zarazem stworzenia w soborze narodowym władzy narodowej dla Kościoła polskiego, była protestem [2]) ze strony narodowej odrębności przeciwko średniowiecznej uniwersalności papiestwa i zarazem objawem poczucia samodzielności. Wreszcie chęć ta była wynikiem zrozumiałej reakcji przeciwko uprzedzeniom i zaślepieniu duchowieństwa rzymskiego, które bezkrytycznie idąc za wolą Rzymu, sprzeciwiało się dopuszczeniu języka narodowego do liturgji nawet tam, gdzie chodziło o lud prosty, łaciny nie rozumiejący.

Niektórzy z biskupów nie chcieli używać języka polskiego nawet w stosunkach prywatnych. Biskup Hozjusz obrażał się i wyrzuty czynił biskupowi Uchańskiemu, gdy ten pisał listy do niego po polsku [3]).

Że Hozjusz języka polskiego nie cierpiał i posługiwał się stale w stosunkach swych z ludźmi językiem łacińskim, a najchętniej i najczęściej językiem niemieckim, to rzecz zrozumiała, gdyż był z urodzenia niemcem. Dziwniejszą jednak rzeczą jest niechęć do polskiego języka w owych czasach biskupów, rdzennych polaków. Słusznie też odpowiedział jeden z niewielu niestety światłych i patrjotycznych biskupów, Zebrzydowski, na zarzut, uczyniony mu przez biskupa Izdbieńskiego, iż postponuje język kościelny, łacinę, a używa języka polskiego: „Dlaczegóż cię obraża ten język“, — pisze Zebrzydowski do Izbieńskiego, — „kiedy z wielu powodów lubić go powinnieneś; przecież masz przodków, którzy go nietylko uważali za swój domowy i macierzysty, ale go nawet bronili krwią i piersiami swemi; przecież urodziłeś się tam, gdzie ten język jest panujacym i najzacniejszą osiągnęłeś godność w tej prowincji, która od niego nazwisko swe Wielkopolski bierze“. —

Bezżeństwo księży uważała wówczas znaczna większość wykształconej szlachty i duchowieństwa za pogwałcenie praw natury i za bezpośrednią przyczynę

[1]) Patrz: „Jakób Uchański, arcybiskup gnieźnieński“ — przez Teodora Wierzbowskiego, tom V. Roźdz. VII.

[2]) Patrz: „Jakób Uchański“ — T. Wierzbowskiego, t. V. Rozdział VII.

[3]) Dostatecznie się więc Hozjusz Polsce zasłużył przez nienawiść do języka polskiego i przez sprowadzenie do Polski jezuitów, ażeby zostać „polskim świętym“!.,,,

upadku moralności wśród duchowieństwa.

Argumenty, jakie wytaczali obrońcy celibatu, były nieracjonalne, śmieszne lub niemoralne, a nawet gorszące. Najważniejszem argumentem był ten, że księża, żyjąc w bezżeństwie, tem gorliwiej oddawać się mogą sprawom Kościoła. Tymczasem chodziło właśnie o to, by księża przestali być wyłącznie sługami papiestwa, lecz stali się dobrymi obywatelami własnego kraju. —

„Nie brak i takich", — mówi o tej sprawie Frycz Modrzewski, — „co się chełpią dobrym powodzeniem, że mniej grzeszy ksiądz, który popełnia cudzołóstwo ze stoma rozmaitemi kobietami, niż ten, co z jedną w małżeństwie żyje".

Inny wybitny pisarz i szermierz reformy Kościoła w owej epoce, Orzechowski, był zdania, że celibat jest wymysłem włochów, a bronią go oni tak uporczywie dlatego, że więcej smakuje im cudzołóstwo, niż małżeństwo.

Już po pogodzeniu się swem z Kościołem rzymskim [4]) w roku 1564 tak o sprawie tej pisze Orzechowski w dialogu „Około egzekucji" [5])

„A tak gdy księża marnie a nieuczciwie bez małżeństwa w Polsce żywią, gwałcą przedniejszy grunt korony polskiej, skąd roztyrk i rozruch wielki w Królestwie Polskim między stanem duchownym a świeckim jest; o czym król radzić musi".

I toć jawnie powiadam: póki ta żona wielebna, która świat zaburzyła, kapłanom nie będzie przez koncylijum wrócona, niechaj się dzieje co chce, niechaj też koncylija ustawicznie będą, przedsię księża w tym bezżeństwie swym wzgardzonymi u wszech ludzi będą..."

Życie i moralność ówczesnego duchowieństwa rzymskiego, wynikające z obowiązku celibatu, dawały dużo powodów do publicznego zgorszenia. Narzekają wielce na ten stan rzeczy ówcześni pisarze Mikołaj Rej, Modrzewski i Orzechowski, a prawdziwość ich oskarżeń stwierdzają dokumentalnie księgi wizytacyj biskupich, które się do dziś dnia przechowały. Przykład zły dawali zresztą sami biskupi, tacy, jak biskup krakowski Gamrat, jak Fryderyk Jagiellończyk, Piotr Myszkowski i wielu innych.

Wracając jednak do sprawy owej misji polskiej do papieża (Pawła IV), to papież dał na żądania króla i sejmu odpowiedź wykrętną, obiecał mianowicie przyspieszyć zwołanie soboru powszechnego i w nim znaleść lekarstwo na „chorobę narodu polskiego".

Że zaś zwołany sobór powszechny zawiódł nadzieje nawet wiernych Rzymowi wyznawców, przeto sprawa synodu narodowego w Polsce nie przestała być i nadal aktualną.

Na sejmie w r. 1558 i 1559 domagają się zwołania synodu narodowego obok biskupa Uchańskiego tacy prawowierni katolicy, jak Janusz Kościelecki, wojewoda sieradzki i Jan Ocieski, kanclerz koronny [6]). Wspomniany sejm jednak uchwały żadnej w sprawie tej nie powziął, lecz była ona w dalszym ciągu przedmiotem sporów i układów pomiędzy królem, sejmami i duchowieństwem katolickiem i różnowierczem, gdy w roku 1565 zamknięty został sobor Trydencki i dekrety jego przywieziono do Polski. Dekrety soboru Trydenkiego miały na oku ochronę przywilejów wyłącznie jednego tylko papiestwa. Zniosły one zasadę wyższości soborów nad papieżem i przyznawały papieżowi władzę zmieniania wszystkich dekretów i nieograniczonego stanowienia o wszystkich sprawach. Dekrety te nie zadowolniły w Polsce nikogo, gdyż nie odpowiadały potrzebom czasu. Podniecały tylko umysły do walki wyznaniowej, zamiastby je miały uspokoić. Dlatego też idea soboru narodowego odżyła w Polsce po soborze Trydenckim jeszcze z większą siłą, zwłaszcza że tak duchowieństwo katolickie wobec triumfów różnowierczej szlachty na sejmach po r. 1560, jak i różnowiercy, rozbici na szereg zwalczających się wzajem sekt, synodu tego

[4]) Stanisław Orzechowski był przez szereg lat najtęższym w Polsce szermierzem idei reformy Kościoła, przyczem sam będąc kapłanem, ożenił się. W r. 1500 pogodził się z Rzymem.

[5]) St. Orzegowskiego „Polskie dialogi polityczne" wydał Jan Łoś.] Nakład Akad. Umiej. 1919.

[6]) Dzienniki sejmów: 148, 152, 153.

pragnęli. Spory polemiczne wśród różnowierców osłabiały ich wewnętrznie i wzmacniały stanowisko zwolenników Rzymu. Czuli to dobrze przywódcy obozu różnowierczego i uznawali za konieczne porozumienie nietylko między sobą, ale także wytworzenie takiego stanu, któryby uniemożliwiał tolerowanie się wzajemne katolików i różnowierców.

Gorącym zwolennikiem tego pojednania się religijnego był właśnie Frycz Modrzewski, a obok niego biskup Uchański i król Zygmunt August. Wówczas to napisał Frycz Modrzewski kilka traktatów religijnych, usiłując znaleść drogę wyjścia ze spornych kwestyj, rozdzielających polaków-chrześcijan na kilka zwalczających się obozów. Szczególnie ważną z rozpraw Modrzejewskiego jest: „O konieczności zebrania się celem usunięcia sprzeczności w sprawie religji“[7]). Uzasadnia w niej Modrzewski konieczność wspólnego wszystkich w Polsce wyznań chrześcijańskich synodu i radzi, aby do czasu załatwienia sporów przez synod wszyscy chrześcijanie tolerowali się wzajemnie i nie uważali się za wrogów, lecz żywili właśnie chęć zgody i miłość pokoju.

Najważniejszym argumentem, którym dowodzi konieczności narodowego synodu, jest ten, że na sobór Trydencki, nie byli dopuszczeni do głosu wszyscy, którzyby tam mieli do tego prawo, a następnie, że sobór nie przyprowadził żadnych z żądanych i doczekiwanych reform w Kościele. Należy więc koniecznie doprowadzić do synodu, na którym by się wszyscy wypowiedzieć mogli i na którymby znalezioną została wspólna dla wszystkich chrześcijańskich w Polsce wyznań platforma. Uważać przytem, że nie może być w państwie sprawy tak ważnej, ażeby jej sprawa wiary miejsca ustąpić mogła. Co do osobistych zaś przekonań religijnych, a zwłaszcza ambicji, to zdaje się mu, że gdy nauka bezpośrednio od Chrystusa pochodząca dosyć jest jasną, a na sędziów wybrani będą ludzie nie kierujący się żadnemi ubocznemi względami, lecz o chwałą Bożą szczerze dbali, to dojście do zgody, trudną rzeczą nie będzie W szczegóły dogmatyczne Frycz Modrzewski się nie zapuszcza, pozostawiając rozstrzygnięcie ich samemu synodowi. Stanowisko Modrzewskiego było zarazem stanowisiem arcybiskupa Uchańskiego, już w owym czasie prymasa Polski, który musiał w sprawie tej lawirować niezmiernie zręcznie, ażeby, nie zdradzić swych istotnych planów[8]) przedwcześnie przed legatem papieskim (Commendonim) i Hozjuszem, którzy go mieli osobliwie na oku. Dlatego też prymas Uchański, zwołując wreszcie oczekiwany zdawna synod do Piotrkowa w roku 1564 dał odnośnemu swemu memorjałowi do duchowieństwa formę, odbiegającą znacznie od istotnego celu, znaczenia i rozmiarów zwoływanego synodu. Wszystkie źródła historyczne, odnoszące się do sprawy omawianego synodu, wskazują niewątpliwie na to, że prymas Uchański zamierzał poczynić różnowiercom na synodzie wcale poważne ustępstwa, a mianowicie: język polski w liturgji, zniesienie celibatu duchowieństwa i komunję pod dwiema postaciami, za co miał zamiar w zamian zażądać od dyssydentów uznania postanowień soboru Trydenckiego. Pojednanie z dyssydentami i utworzenie przez to *Narodowego Polskiego Kościoła*, nie miało przekraczać tych granic i tego programu, na podstawie których już przy następcy Uchańskiego na prymasostwie przyszła do skutku unia Kościoła zachodniego ze wschodnim. Pokój religijny, zaprzestanie wzajemnych sporów, polemik i napaści w słowie i druku, miało być korzyścią niewątpliwą dla obu stron, a przedewszystkiem dla państwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[7]) „De necessitate conventus habendi ad sedandas religionis controversias“.

[8]) Uchański dążył jeszcze i w tym czasie do urzeczywistnienia planu stworzenia Narodowego Kościoła polskiego, jak to widać z jego nieustających stosunków i narad z Modrzewskiem.

ADAM MICKIEWICZ.

O KOŚCIELE URZĘDOWYM.

(Ciąg dalszy.)

III.

To, że naród katolicki w najstraszniejszej chwili walki [1]) za swoją narodowość relijną[2]), *został opuszczony od Kościoła urzędowego*, i to, że cała literatura nowoczesna tego narodu jest posądzona o herezję [3]), ma związek z wielką kwestją religijną, toczącą się dzisiaj na zgromadzeniach politycznych i w książkach filozofów [4]).

Trzeba zgłębić lepiej, co Kościołowi urzędowemu przeszkadza być w spółce z najżywotniejszym i najrzeczywistszym ruchem katolicyzmu, i *co mu zawsze przeszkadzało czuć ducha Francji i Polski dzisiejszej* [5]).

Jest jeden rodzaj ofiary, właściwy waszej epoce, przed którym człowiek najodważniejszy, najszlachetniejszy najwytrwalszy cofa się niekiedy ze drżeniem. Tego rodzaju ofiarą jest poświęcenie naszego *ją duchowego*, wystawienie go na pociski rozumów i pychy, dowcipów i złości, szyderstw i żartów brukowych [6]). Kiedy mówię o wystawieniu naszego *ja*, nie rozumiem przez to tych wystawian naszej opinji albo uczuć, rzucanych publiczności w pismach i zdaleka lub też rozsiewanych pocichu między przyjaciołmi. Nie! Przez ofiarę ducha rozumiem *czyn człowieka, który przyjąwszy prawdę, przepuściwszy ją przez swoje ciało, nosi ją w sobie, jawi na zewnątrz, służy jej za organ* [7]), *za twierdzę i za wojsko, nie abając na spojrzenia, sykania i żądła wrogów.* Jest to najzacniejsza i najboleśniejsza ze wszystkich ofiar.

Tylko narody bardzo stare mogą czuć, jak ona kosztowna i ciężka. Wiadomo, że narody najwaleczniejsze i najśmielsze, Francuzi i Polacy, właśnie najwięcej boją się śmieszności i najtrudniej u nich o *odwagę cywilną* [8]). To rzecz godna zastanowienia się: leży w tem jedna z tajemnic epoki naszej.

Smieszność jest ulubioną bronią dzisiaj. W rzeczach ducha ona rozstrzyga wszystko; i nie mogło być inaczej. Widzimy tu, jak siła ziemska, materjalna, którą jeszcze wielu uważa za potęgę istotną, ustępuje przed czemś niewidomem, co pochodzi ze świata niematerjalnego. Im jaka broń jest mniej materjalna, tem straszniejsza. Kropelka jadu, którą gad słaby i pełzający wsączy — bardziej jest niebezpieczną od ukąszenia lwiego, zadaje śmierć niechybną. Są takie dusze, co podobnym sposobem jak płazy, nagromadziwszy cicho we wnętrzu zapas trucizny, napuszczają nią uśmiech swojej twarzy: jad niematerjalny razi ducha, odbiera mu władzę. Im człowiek jest duchowniejszy, tem tkliwszy na pociski tej nowej broni złego [9]). Po otrzymanem zwycięstwie nad ziemią, musi on zwyciężać w duchu. Skoro stanie, nie jako krasomowca albo adwokat, ale jako *żołnierz prawdy*, uczuje się być nietykalnym. Węże i żmije, jak mówi Pismo św., nie będą mogły mu szkodzić.

---

[1]) Mickiewicz mówi tu o Polsce w okresie powstań. —

[2]) Słowa Mickiewicza: „narodowość religijną" — należy rozumieć jako *religię narodową*. —

[3]) Pisma, tak samego Mickiewicza, jak i osobliwie pisma Towiańskiego. —

[4]) Mowa tu o demokratycznej myśli europejskiej od Wielkiej Rewolucji franc. do naszych dni.

[5]) Mickiewicz uzasadnia tę myśl w następującym ustępie, który tu opuszczamy ze względu na to, że wymaga on wyczerpującej znajomości historji myśli europejskiej z czasów Napoleona i po upadku Napoleona. Czerpie też dowody z dziejów rozwoju narodowej sztuki francuskiej i słowiańskich ludów. —

[6]) Szyderstw prasy brukowej!

[7]) Narzędzie. —

[8]) Czyli odwagę wypowiadania swych przekonań.

[9]) Mickiewicz mówi tu wciąż o jadzie moralnym, o broni *śmieszności*, na którą narażeni są dziś ludzie publicznie w obronie idei występujący. —

Kościół urzędowy nie ma dzisiaj, i bez zupełnej przemiany w sobie nie może spodziewać się, by miał tą nietykalność ducha [10]). Śmieszność zastrasza go nadewszystko. Księża tam niosą słowo religijne, gdzie są pewni dobrego przyjęcia. Z członków Kościoła wojującego powychodzili — darujcie wyrażeniu — *na faktorów rekomendujących katolicyzm.* Nie grozi to im żadną przykrością moralną. Wstąpiwszy na kazalnicę prawią śmiało, bo wiedzą, że im to pozostawiono, że świat przywykł uważać to za ich *rzemiosło (')*, i że nikt nie myśli atakować ich w tej twierdzy obwarowanej ustawami. Tego samego księdza, co grzmiał z ambony przeciwko niedowiarstwu, spotkaj potem gdzie w towarzystwie prywatnem, a zobaczysz, jak uprzejmie nadskakuje przesądom niedowiarków, jak strzeże się wymówić imię Chrystusa P., jak stara się swój charakter kapłański zakryć ułożeniem salonowem albo rubasznem, jakgdyby chciał, żeby tam już ani jego kapłaństwa, ani religji śladu nie było".

„Będąc do tego stopnia w niewoli przyzwoitości i zwyczajów światowych, niepodobna mieć cokolwiek siły, niepodobna w żaden sposób działać na masy; jakoż dygnitarza Kościoła zrzekli się tego od dawna. Cóż jest wspólnego teraz między nimi a narodami?"

„Tytuły książąt Kościoła powinnyby nam wykazywać ich walki, przypominać ich prace i zwycięstwa duchowe. Chodzą oni w purpurze, które według symboliki kościelnej znaczy męczeństwo. I któż teraz kiedy słyszał o jakim kardynale umęczonym?"

„Kosztuje mnie wielce mówić o tych rzeczach publicznie. Skutki cudowne wiary są w naszych czasach tak rzadkie, Kościół tak im nie dowierza, publiczność tak mało o nich słyszy, że łatwo można wystawić się na posądzenie o ciemnotę, dziwactwo, nowatorstwo, chcąc nic więcej tylko przypomnieć chrześcijanom dzisiaj to, co w czasach pierwotnych Kościoła było dla ludzi rzeczą bardzo prostą. Dopiero to daje się czuć, jak straszny przedział między nami a tem, co wtenczas było. Gdzież są teraz w Kościele tacy, coby mieli dar mówienia wszystkiemi językami? Doktorowie Kościoła dzisiejszego rozumiejąż, co to jest ten dar Ducha św.? Księża kończą na tem, że ten dar był dawniej, ale teraz już jest niepotrzebny. Dar Ducha świętego stał się niepotrzebnym! Prościej [11]) byłoby powiedzieć, że *został stracony* i tak zaginął, że już poczęto wątpić, czy i był kiedykolwiek. Kiedy cud jaki przestanie się powtarzać, musi się stać wątpliwym, być zaliczonym do rzeczy bajecznych. Tym sposobem wszystkie cuda, o których czytamy w Ewangielji, podawane naprzód we wątpliwość jako niepodobne do wytłomaczenia, idą potem w poczet bajek. I nie masz innego sposobu udowodnienia rzeczywistości cudów, jak tylko przez odnalezienie tajemnicy, powtórzenia się ich znowu."

Dziewiętnaście wieków upływa od chwili, kiedy Kościół otrzymał od Ducha świętego dar robienia takich cudów. Był czas na korzystanie z tego daru, był czas w dwójnasób, w trójnasób i więcej namnożyć między nami dowodów potęgi duchowej. Jakże się to dzieje, że mniemanie pospolite w chrześcijaństwie z trudnością przypuszcza, aby dar ten miał być kiedykolwiek, a księża uważają go za znikniony, niepotrzebny, albo niepodobny do odzyskania? Jednak chociaż księża nie wiedzą o nim i działania jego spostrzedz nie mogą, *jest on zawsze, działa i działać nie przestanie.* Ale nimbyśmy powiedzieli, gdzie i w jaki sposób jest, pierwej mamy prawo zapytać was, ludzie Kościoła urzędowego, *czemu go nie masz pomiędzy wami?*

Te wszystkie spostrzeżenia nad zjawiskami życia religijnego dowodzą, że *że auch chrześcijański w Kościele od dawna szedł coraz słabszym ruchem i prawie zupełnie ustał.*"

[10]) Raczej — siłę ducha.

[11]) I prawdziwiej!

„Teraz kiedy kto mówi księżom o nędzy ludu, odpowiadają, że temu zaradzić nie w ich mocy“.

„Kiedy trzeba przynieść radę i pociechę, na tę jałmużnę duchowieństwo dzisiaj zbobyć się niezdolne. Czemże się to dzieje? Oto, *że duchowieństwo ziemię uznało za swoją matkę; że polega i ma nadzieję tylko na mocarzach ziemi. Dlatego to straciło tajemnicę tej potęgi moralnej, która karmi człowieka albo mu odkrywa środek dostania pokarmu i daje razem siłę użycia tego środka;* mówiliśmy bowiem [12]), że z niedostatku mocy duchowej pochodzi niedostatek chleba powszedniego. Nie sam głód fizyczny przywodzi do rozpaczy i samobójstw. Człowiek pierwotny nie odbiera sobie życia: dziki, przyciśniony głodem, kładzie się w cieniu, i cicho, spokojnie czeka śmierci. Człowiek z takiego ludu, jak francuski albo polski, przywiedziony do podobnej ostateczności, rzuca się i targa: im bardziej ciało jego słabnie, tem więcej się duch jego wyzwala, bo on ma zaród tego ducha: on jest synem wielu pokoleń, co wielkie rzeczy przedsiębrały i czyniły. — Dotknięty ze wszech stron okropnie, dręczony boleścią, musi w ostatku zadać sobie to pytanie: Zacóż ja cierpię? Więcej żem winien, czym tylko więcej nieszczęśliwy od tylu innych, co żyją i używają życia?

Jestże Bóg, czy nie masz Boga? Skoro postawił sobie to pytanie i nie może go rozwiązać już po nim, już zgubiony; bo mu potrzebny Bóg, ale Bóg nie jako wyobrażenie oderwane, albo imię historyczne. *Mędrkowie i księża nie dają już nam dzisiaj innego Boga, jak tylko filozoficznego i historycznego,* a człowiek nieszczęśliwy krzyczy z poetą Garczyńskim:

„...gdzie jest Słowo, co się stało ciałem?“....

Miłosierdzie księży u śmiertelnego łoża konających w takiej rozpaczy, nie umie dać im innej rady, jak tylko:

„Cierp, nieś twój krzyż, jak Zbawiciel nasz niósł, i umieraj....“

Umieraj! Księża mówią zupełnie to samo, co cesarz rosyjski w swoim sławnym katechizmie powiedział polakom [13]): „Naśladujcie Zbawiciela, który za panowania Tyberjusza dał się ukrzyżować, a nie popełnił nieposłuszeństwa, umierajcie!“ Otóż do czego, po ośmnastu wiekach trwania Ewangielji, nas wzywają: *do tego, abyśmy bez oporu dawali się krzyżować!*

Czy zapomniano, że Ukrzyżowany zmartwychwstał, że obiecał przyjść w triumfie i kazał służebnikom swoim zgotować królestwo dla siebie? Gdyby ten król obiecany i oczekiwany od wieków przyszedł teraz, zastałżeby służebników swoich gotowych do Jego przyjęcia, usposobionych do walki dla Jego triumfu? Jeśli ma być triumf, powinno być wojsko dzielne i gotowe bić się w razie potrzeby. Gdzież jest to wojsko? Chyba że, jak niektórzy księża utrzymują, Syn Człowieczy nie będzie już więcej używał innych sił prócz obłoków, których błyskawice i pioruny oświecą Jego drogę, pokonają Jego nieprzyjaciół. Wiarę tak niedorzeczną wymyślono dobrze na uspokojenie obaw duchowieństwa; ale dzisiaj jest wszakże czego się zatrwożyć.

Jezus Chrystus wywrócił pogaństwo nie za pomocą błyskawic i piorunów, ale przez apostołów i męczenników, przez ludzi z ciała i kości. Do powstania swego królestwa wezwie także ludzi. *Ci, co cierpią i oczekują, są Jego naturalnemi żołnierzami.* Kościół miał obowiązek zebrać ich w zastępy, karmić i ćwiczyć ich duchowo; zamiast tego mówi im: *Umierajcie!*“

(Koniec.)

[12]) Na innem miejscu.

[13]) Cesarz Mikołaj I kazał ogłosić w Polsce katechizm pod tytułem: „O czci należnej cesarzowi Rosji“. Katechizm ten potwierdzili polscy biskupi za zgodą Watykanu.

Papież a Kościół.

Przemówienie biskupa Strossmayera. (Ciąg dalszy).

W poprzednim numerze 31. „Polski Odrodzonej“ opuszczono wskutek omyłki część mowy biskupa Strossmayera. Na stronie 13 po § 6. powinno następować:

7. Eugenjusz IV. (1431-1439) uznał synod w Bazylei i przywrócenie kumunji pod obu postaciami dla Kościoła w Czechach. Pius II. (1458) odwołał tę koncesję. 8. Hadrjan II. ogłosił, że małżeństwa cywilne są ważne; Pius VII. (1800-1823) potępił je. 9. Sykstus V. (1585-1595) wydał edykcję Pisma św. i osobną bullą zalecił ją czytać. Pius VII. potępił czytanie Pisma św. 10. Klemens XIV. (1700-1721) zniósł zakon jezuitów, zatwierdzony przez Pawła III. Pius VII. go wznowił. —

Nie, nie oszukujcie samych siebie. Jeżeli uchwalicie dogmat o nieomylności papieskiej, protestanci, nasi przeciwnicy wystąpią jawnie, tem śmielej, że mają historję po swej stronie, gdy my przeciw nim będziemy mieli tylko nasze gołe zaprzeczenie. Cóż możemy im odpowiedzieć, gdy pokażą wszystkich biskupów Rzymu od Linusa aż do jego świątobliwości, Piusa IX?

Ach, gdybyż oni wszyscy byli Piusami IX., moglibyśmy triumfować na całej linji; ale, niestety, tak nie jest. (Krzyki: Milcz, milcz! dosyć, dosyć!) Nie krzyczcie, monsignori! Bać się historji, jest to uznać się za zwyciężonych; co więcej, gdybyście mogli całą wodę Tybru na nią puścić, nie zmylibyście ani jednej karty. Pozwólcie mi mówić, a będę się streszczał, o ile to tylko możliwe w tak doniosłej materji.

„Znacie zbyt dobrze historję o Formozusie, bym mógł cokolwiek do niej dodać. Stefan XI. kazał jego ciało odgrzebać, ubrać w szaty pontyfikalne, palce, któremi błogosławił, uciąć, a potem go wrzucić do Tybru, ogłosiwszy go jako krzywoprzysieżcę i bękarta. On sam został potem przez lud uwięziony, struty i uduszony. Ale patrzcie, jak te rzeczy wyrównano“:

Romanus, następca Stefana, a po nim Jan X. zrehabilitowali pamięć Formozusa.

Może powiecie mi, że to bajki, nie historja! Bajki! Idźcie, monsignori do biblioteki watykańskiej i czytajcie Platinę, historyka papiestwa i roczniki Baroniusza (867). To są fakta, które dla honoru stolicy świętej, życzymy sobie, by były nieznane; ale gdy się nam poleca określić dogmat, który może wywołać wielką schizmę między nami, czyż miłość, którą żywimy dla czcigodnej Matki Kościoła, katolickiego, apostolskiego i rzymskiego, może nam nakazać milczenie?

Idę dalej.

Uczony kardynał Baronjusz, mówiąc o dworze papieskim, pisze: (uważajcie, moi czcigodni bracia, na te słowa): „Jakżeż wyglądał rzymski Kościół w tych czasach — jaki ohydny! Tylko wszechwładne kurtyzany rządzą w Rzymie! One to nadają, zmieniają i odbierają biskupstwa, a wstyd to mówić, one to sadzają na tronie św. Piotra swych kochanków, fałszywych papieży...“

Rozumiem, jak musiał się sławny Baronjusz rumienić, gdy opisywał dzieje biskupów rzymśkich. Mówiąc o Janie XI., naturalnym synu papieża Sergjusza i Morozji, napisał te słowa w swych rocznikach: „Swięty Kościół i to rzymski został ohydnie sponiewierany przez takiego potwora. Jan XII. (956), wybrany papieżem w wieku 18 lat przez wpływy kurtyzan, nie był ani odrobinę lepszym od swego poprzednika.“

Przykro mi, czcigodni bracia, ruszać to błoto. Milczę o Aleksandrze VI., ojcu i kochanku Lukrecji. Odwracam się od Jana XXII. (1316), który zaprzeczał nieśmiertelności duszy i został zdegradowany przez święty ekumeniczny synod w Konstancji.

Ktoś powie, że ten sobór był tylko prywatnym. Niech i tak będzie; ale jeżeli odmówicie mu autorytetu, to jako logiczną konsekwencję musicie uznać

wybór Marcina V. (1417) za nieprawny. I cóż się wtedy stanie z sukcesją apostolską? Możecie znaleść jej łączność?

Nie mówię o schizmach, które zniesławiły Kościół. W tych nieszczęsnych dniach stolica rzymska była nieraz zajęta przez dwóch, a nawet trzech współzawodników, który z nich był prawdziwym papieżem?

Streszczając się raz jeszcze, twierdzę ponownie, że jeżeli ogłosicie nieomylność obecnego biskupa Rzymu, musicie stwierdzić nieomylność wszystkich poprzedników, nie wyjmując nikogo. A czy możecie to zrobić, gdy historja wykazuje z jasnością równą chyba słońcu, że papieże mylili się w swej nauce? Czy moglibyście to zrobić i twierdzić, że chciwi nierządni, morderczy, świętokupni papieże byli zastępcami Jezusa Chrystusa. O bracia czcigodni, głosić taką potworność byłoby to zdradzić Chrystusa gorzej niż Judasz; byłoby to rzucać błoto w twarz Chrystusowi. (Krzyki: Precz z mownicy! prędko zamknijcie gębę heretykowi!) Moi czcigodni bracia, krzyczcie; czynem więcej godnym byłoby zważyć moje argumenty i dowody na wadze świętości? Wierzcie mi, historji nie można z powrotem przerobić, ona jest i pozostanie na całą wieczność i protestować będzie przeciw dogmatowi nieomylności papieskiej.

Z całą szczerością wyznaję, że patriarcha rzymski zajmował pierwsze miejsce. W jednem z praw Justyniana powiedziano; „Zgodnie z orzeczeniem czterech soborów postanawiamy, aby biskup starożytnego Rzymu był pierwszym wśród biskupów, arcybiskup zaś konstantynopolitański, jako biskup nowego zymu, był drugim". — Powiecie mi: uchyl więc czoła przed prymasem papieża! Nie bądźcież, dostojni bracia, tak pochopni w swych wnioskach, jakgdyby prawo Justyniana przemawiało istotnie na korzyść bronionej przez was zasady: co innego jest pierwszeństwo, a co innego władza juryzdykcji. Wyobraźmy sobie n. p., że we Florencji zgromadził sie sobór wszystkich biskupów państwa włoskiego; pierszeństwo poruczonoby naturalnie prymasowi Florencji, tak, jak na Wschodzie pierwszeństwo to oddanoby patriarsze konstantynopolitańskiemu, w Anglii arcybiskupi Kantyrberyjskiemu. Atoli żaden z nich nie może na mocy zajmowanego stanowiska rościć sobie prawa do juryzdykcji nad współbraćmi.

Znaczenie biskupów rzymskich powstało wcale nie z osobliwej Bożej mocy, ale z znaczenia tego miasta[1]) jako stolicy. Monsignor Darboy[2]) nie jest co do godności wyższym od arcybiskupa awignionńskiego, pomimo to wszakże fakt, iż rezyduje w Paryżu, daje mu to pierwszeństwo, któregoby nie miał, gdyby pałac jego znajdował się zamiast nad brzegiem Sekwany — nad brzegiem Rodanu. To co prawdziwe i słuszne w sprawach religijnych, jest równie prawdziwem i słusznem w sprawach cywilnych i politycznych. Prefekt Florencji nie jest wcale wyższym od prefekta miasta Pizy; lecz cywilne i polityczne warunki miejscowe wyrobiły mu większe znaczenie. Powiedziałem, że już od pierwszych stuleci dążył patriarcha rzymski do ujęcia w swe ręce najwyższej władzy w Kościele. Na nieszczęście dopiął tego prawie, lecz całcałkowicie uczynić tego nie zdołał, gdyż cesarz Teodozjusz II wydał prawo, aby patriarcha konstantynopolitański posiadał jednokową z biskupem rzymskiem władzę. Ojcowie soboru Chalcedońskiego wyznaczyli obu biskupom, tak starego, jak i nowego Rzymu, równe stanowisko we wszystkich, także kościelnych sprawach. — Szósty sobór Kartaginski zabronił wszystkim biskupom przybierania tytułu księcia, czyli biskupa-zwierzchnika.

Co się tyczy tytułu „biskupa powszechnego", który papieże później przybrali, to papież Grzegorz I w mniemaniu, że następcom jego nie wpadnie do głowy myśl używania go, także napisał słowa! „Żaden z moich następców niechaj się

[1]) O kwestji tej mowa właśnie w tej części pracy jest „Ewangelja miłości i miłosierdzia" którą niniejszy numer zawiera.

[2]) Arcybiskup Paryża.

nie waży używać tego niegodnego czci tytułu, albowiem jeśliby jakikolwiek patriarcha przybrał sobie nazwę powszechnego, to wtedy godność patriarchy straciłaby na zaufaniu; a przeto niechaj obcem będzie chrześcianinowi pożądanie tytułu, który zasiewia nieufność do współbraci". Słowa te św. Grzegorza zwrócone były przeciwko jego współbratu, patriarsze kostantynopolitańskiemu, który dążył do zdobycia prymatu w Kościele.

Papież Pelagjusz II nazwał biskupa konstantynopolitańskiego Jana bezbożnym i czci niegodnym za to, że się dopominał zwierzchniczego kapłaństwa. — „Nie troszczcie się" — mówił on — „o tytuł *powszechny*, który sobie przywłaszczył bezprawnie Jan; niechaj żaden z patrijarchów nie przybiera tego niegodnego czci tytułu. Czegoż bowiem możemy oczekiwać, jeśli wśród duchownych ujawnią się takie dążności! Ziści się na nas to, co było przepowiedziane: *on jest księciem synów pychy*". (Pelag. II, ep. 13).

Czyż te poważne świadectwa, a mógłbym z górą setkę podobnych przytoczyć, nie stwierdzają prawdy jaśniejszej nad słońce, że pierwszych biskupów rzymskich nie uznawano nigdy jako *powszechnych* ani za *głowę* Kościoła? Z drugiej znów strony któż o tem nie wie, że od 325 roku, w którym odbył się pierwszy sobór Nicejski, do roku 680., w którym drugi sobór powszechny konstantynopolitański, na ogólną liczbę 109 biskupów, którzy brali udział w pierwszych sześciu soborach powszechnych, zachodnich biskupów było nie więcej jak dziewiętnastu? Kto o tem nie wie, że sobory zwoływane były przez cesarzów, bez powiadomienia, a często wbrew woli rzymskiego biskupa?

Powiecie zapewno, że Ozjusz, biskup Kordowy, przewodniczył na pierwszym soborze Nicejskiem i że wydał jego postanowienia. Atoli tenże Ozjusz przewodniczył następnie na soborze w Serdach, na którym nie było legata biskupa rzymskiego Juljusza. Więcej o tem nie powiem, czcigodni bracia, lecz przychodzę do innego silnego dowodu, na który powoływaliście się uprzednio dla stwierdzenia prymatu rzymskiego biskupa. —

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCJE.

Piątek Łęczycki.

Przed dwoma tygodniami Kościół rzymski w Piątku był miejscem smutnego widowiska dla paru tysięcy wiernych, którzy zebrali się na zwykłą niedzielną sumę. Rzecz się miała następująco: Przybyły tu przed dwoma miesiącami wikarjusz ks. Sienkiewicz, cieszył się ogólną sympatją parafjan. Znienawidzony przez ogół proboszcz, nie mogąc na to patrzeć, postanowił usunąć swego rywala duchownego i to jaknajprędzej. W tym celu wybrał się do Łodzi, odległej od Piątku o kilkanaście mil, i w piątek w nocy przywiózł z konsystosza dla ks. wikarego papiery translokaty.

Dnia następnego nie pozwolił księdzu wikaremu odprawić Mszy św., ale kiedy ten odwołał się do opinji publicznej -- proboszcz uległ.

W niedzielę, aczkolwiek wikarjusz jeszcze nie wyjechał, proboszcz odprawiał dwie Msze święte — i urządził się w ten sposób, że po pierwszej Mszy św. wystawił na ołtarzu puszki, różne kielichy, a to w tym celu, aby młodszy kapłan nie mógł odprawić ofiary Mszy przy temże ołtarzu.

Ks. Sienkiewicz mimo to Mszę św. odprawił i czekał teraz okazji pożegnania sie z parafjaninami, którzy przecież okazywali mu tak wiele serca. Proboszcz wypowiedział kazanie, załatwił różne

sprawy z ambony i zeszedł do zakrystji, aby się ubrać do Mszy. Wtedy ks. S. wszedł na kazalnicę i oznajmił parafjanom, że proboszcz przywiózł mu papiery do innej parafji, a zatem musi ich opuścić. — W świątyni pańskiej zawrzało. W tej chwili wypadł w albie proboszcz i chcąc przeszkodzić wikarjuszowi na ambonie, zaintonował: „Niechaj będzie pochwalony!“ — Tłum milczał, proboszcz intonuje drugi raz — cicho; proboszcz krzyczy: na organach „grać! — grać!“ — Na co z chóru słychać odpowiedź: „Niema kto kalikować“! W tym czazie ks. S. skończył swoje pożegnanie i, schodząc z kazalnicy, zaintonował „Niechaj będzie". — Wszyscy pociągnęli za nim i w jednej chwili cały Kościół zagrzmiał głosem wielkiej skargi do Boga i swego Pana.

Co było robić? Proboszcz urządził „wystawienie“, — chociaż na to nie pozwalały rubryki kościelne i później odprawił Mszę św. Wikarjusz wyszedł do swego mieszkania i zapewne uważał misję swoją za skończoną.

Tymczasem stało się cokolwiek gorzej. Po sumie parafjanie zamknęli proboszcza w kościele, obstawili silną strażą, zaś sami gromadnie udali się na wikarjat z żądaniem, aby ks. S. raz jeszcze oświadczył, a raczej potwierdził to, co wypowiedział na ambonie.

Ks. S. z całą powagą i stanowczością potwierdził poprzednie oświadczenie i raz jeszcze pożegnał swych parafjan. — Oburzeni do żywego ludzie powyrywali koły z płotu plebańskiego i rzucili się w stronę kościoła, aby bić proboszcza, inni podawali wnioski, aby wywieźć go w pole i tam wyrzucić, a wikarjusza obwołać proboszczem.

Widząc to ks. S. zaczął wprost błagać tłum, aby zaprzestał atakować Kościół i proboszcza, gdyż Chrystus i święta nauka Jego to nie to samo, co proboszcz. Opanowany tłum usłuchał młodego kapłana, który otworzył kościół i przeprowadził proboszcza do plebanji.

Gdyby nie roztropność ks. S., polałaby się krew, gdyż policja przybyła na miejsce, stanęłaby napewno po stronie proboszcza, jako urzędnika stanu cywilnego, a lud znowu nie ustąpiłby z placu boju, gdyż w krwi jego jest nie poddawać się, ale zwyciężać. —

Tegoż dnia wieczorem ks. S. opuścił Piątek i wśród niemilknących okrzyków rzesz, udał się na wikarjat do sąsiedniej parafji. Budzący się do prawdy i sprawiedliwości duch parafjan został narazie przygaszony — nadejdzie czas, że znowu wybuchnie ogniem wielkim i zamieni w w perzynę rzymską tyranję, na której popiołach stanie świetlana, roziskrzona, rozsłoneczniona Polska Narodowa Katolicka Swiątynia.

KRONIKA.

Bolesne argumenty.

Pisma amerykańskie donoszą o awanturze w polsko-rzymskim kościele św. Krzyża w Treuton N. J., którego proboszczem jest ks. Jan Judziak. Księża i biskupi rzymscy zaprowadzili tam zwyczaj opłacania wstępu do kościołów, zupełnie tak samo, jak do teatrów lub cyrków. Przy drzwiach stoją parafijalni urzędnicy, którzy zbierają wstępne od wchodzących na modlitwę ludzi. Na tem tle przychodziło już wiele razy do zaburzeń, gdy rozgoryczeni ludzie odmawiali płacenia przymusowego wstępu do kościoła, który za własne pieniądze, ze składek, pobudowali, a który biskup zapisał na swoje imię.

Taki właśnie wypadek zdarzył się znów w Treuton. Od dłuższego czasu wrzało już w parafji; proboszcz sprowadził sobie policję na podstawie, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo. Pięciu policjantów strzegło księdza. Gdy w następną niedzielę jeden z para-

fjan chciał wejść do kościoła bez opłacenia wstępnego, rozpoczęła się kłótnia, której stróże księdza nie mogli opanować i wezwali pomocy policji. Za chwilę przybyło automobłlami 50 policjantów, którzy aresztowali kilkanaście osób i pokaleczyli sporo ludzi tak, że musiano wezwać lekarzy z ambulansami do opatrywania rannych.

Tak to „Kościół święty, matka nasza“(!) traktuje swe dzieci! Policji w tym wypadku winić nie można, ani prawa amerykańskiego, które zapewnia każdemu człowiekowi swobodne i nieograniczone prawo korzystania ze swej własności. Całą winę ponosi biskup i ksiądz rzymski, a przedewszystkiem cały system rzymskiego kościoła. Gdy ludzie organizują parafję, wmawia w nich ksiądz i biskup, że to będzie ich kościół, że on im go nie zabierze, że tylko ze względów prawnych musi być biskup jego właścicielem, a raczej opiekunem, bo inaczej mogłoby parę ludzi sprzedać go żydom, heretykom. Naiwni parafjanie wierzą tym obłudnym obiecankom. Skoro jednak oddadzą biskupowi tytuł własności, w tej chwili tracą wszelkie prawa do budynków kościelnych. Są na komornem, ale na prawach, dyktowanych przez biskupa i jego agenta księdza. Wybiorą np. komitet parafjalny, z którego część nie spodoba się księdzu — wtedy biskup nie zatwierdza takiego komitetu i parafja musi wybierać inny. Jeżeliby parafja obstawała przy wybranych przez siebie przedstawicielach, biskup jako właściciel dostaje rozkaz sądowy przeciw mieszaniu się ich w sprawy kościelne.

Jedynem wyjściem byłoby zapisanie własności kościelnej na parafję, która wtedy miałaby prawo do swobodnego zarządzania swym majątkiem. Do tego jednak kościół rzym. nie chce dopuścić i łudzi ludzi obietnicami, aż posiądzie prawnie własność, a wtedy sposobem poglądowym, przy pomocy policji i sądów, uczy ludzi swej nieomylnej teologji.

I w Polsce w podobny sposób uświadamiają księża lud. Smutne to, że naród polski potrzebuje takich bolesnych argumentów do poznania prawdy.

Rzym a Polacy.

Posłowie z Klubu Kat. Lud. zgłosili do ministerstwa spraw zagran. wniosek w sprawie uzyskania w Rzymie polskich biskupów amerykańskich.

Wniosek zwraca uwagę na to, że Polacy w Ameryce posiadają obecnie zaledwie jednego biskupa i że to jest wielka krzywda dla Polaków tamtejszych, jeżeli się uważy, że do kościoła rzym. należy 3 miljony dusz w 760 parafjach, że pobudowali oni 515 szkół parafjalnych, do których uczęszcza 220000 dzieci. Niemcy natomiast posiadają w Stanach Zjednoczonych tylko 400 parafij, a mają aż 14 biskupów i 3 arcybiskupów. Wnioskodawcy wskazują dalej na szkody, wynikające z tego pokrzywdzenia Polaków; rugowania polszczyzny ze szkół polskich i agitację Kościoła Narodowego wobec tego wzywają Rząd do niezwłocznego zajęcia się losem kolonji amerykańskiej przez poczynienie skutecznych kroków u papierza, celem uzyskania dla niej odpowiedniej ilości polskich biskupów.

Od 25 lat Polacy pukali do wrót papieskich — daremnie. — Zbywano ich jak natrętne dzieci, czasem piernikiem, fioletowym pektoralikiem i guzikami dla paru księży, jakimś bzdurnym tytułem, który w demokratycznej Ameryce jest wprost śmieszny.

Trzeba dopiero nacisku Rządu polskiego u nieomylnego zastępcy Chrystusa trzeba mu w oczy powiedzieć, że popełnia krzywdę na swych potulnych barankach! Trzeba, żeby świeccy ludzie pouczali świątobliwą głowę Kościoła o jego obowiązkach, o etyce chrześcijańskiej, o zwyczajnej sprawiedliwości.

Pasterz i lud.

(O liście pasterskim biskupa Sapiehy).

Odezwał się wreszcie pasterz, biskup krakowski książe Sapieha, do ludu swej diecezji, — odezwał się po niewczasie, gdy już krew zbryzgała ulice Krakowa, a pogrzeb ofiar odbył się bez udziału duchowieństwa. Odezwał się do ludu słowami, *któreby powinien skierować przedewszystkiem do samego siebie i podległych sobie kapłanów.* Sobie i

kapłanom swym przypomnieć winien codzienne *grzechy „płaskiego oportunizmu“;* sobie i im przypomnieć powinien, że tak „ideały narodowe“, jak i *ideały ewangelji „służą im tylko na pokaz* — podobnie jak te stare mury“ — Kościołów krakowskich architektoniczną są dziś tylko ozdobą Krakowa, lecz nie religii, nie ludowi one dziś służą. Powinien biskup pamiętać dla siebie samego i swoim kapłanom przypominać codziennie, że: *„zasady religijne nie wprowadzone w życiu, niekiedy zaś fałszowane, straciły swą moc i siłę. Dla wygody, miłego spokoju, ambicji“* — siedzą biskupi po jasnych ciepłych i wygodnych pałacach, a proboszcze po tłustych probostwach i zdala stojąc od ludu, nie znając go, *przeklinają go,* gdy lud zrozpaczony straci na chwilę czerpliwość i rozsądek.

Odpowiedzi Redakcji.

St. Bocian. Wiersz piękny co do treści, ale forma słaba i błędna. Pisz Pan prozą.

M. Kossowski. Wiersze za słabe do naszego pisma. Posłaliśmy je do innego, któremu mniej chodzi o formę. Może umieści.

Z okazji Bożego Narodzenia składamy wszystkim wyznawcom i przyjaciołom Kościoła Narodowego „Wesołych Świąt“.

Redakja i Adm. „Polski Odrodzonej“.

Drukiem „Gazety Robotniczej“ w Katowicach.